Nr. 10. Kraków, 1 Października 1891 r. Rok I.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi
i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi:
rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.

Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI" po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Zielonej L. 8, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie; we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

TREŚĆ: „Od Redakcyi". — Nasze zadanie. — „Il amore desperato", poemat Jana Kasprowicza. — Eliza Orzeszkowa, studyum przez J. Nitowskiego. (Dok.). Notatki z wakacyj, przez St. Rossowskiego. — Potęga ziemi w powieści współczesnej, przez Iw. Franka. — „Wolne Myśli" IX, przez K. Bartoszewicza.— „Shelley", przez Jana Kasprowicza. — „Muzycy i szkoły muzyczne", przez St. Niewiadomskiego. — Miscelanea. — W dodatku powieściowym: Mamin Synek", przez S. Graybnera.

OD REDAKCYI.

W następnym numerze „Myśli" rozpoczniemy druk wyczerpującego studyum o Maryi Konopnickiej, pióra znanej autorki p. Wili Zyndram Kościałkowskiej.

*
* *

Wbrew wszelkim złowieszczym przepowiedniom, przeżyliśmy już prawie pół roku. Wzrastająca — jak na nasze stosunki — nadspodziewanie liczba prenumeratorów świadczy wymownie, iż pismo nasze nie jest poronionym płodem, świadczy, że umieliśmy uderzyć w takie struny, których dźwięku chętnie ludzie słuchają, słowem, że „Myśl" nietylko dla tego jest, że jest, ale że jest potrzebną.

Nie krępowani rosyjską cenzurą, w łamach naszego pisma pomieszczać możemy utwory pisarzów, którychby ci nie mieli poprostu gdzie drukować. tak ze szkodą dla własnej sławy, jak i dla społeczeństwa. Pragnieniem naszem jest i nadzieją, że z czasem „Myśl" stanie się ogniskiem, zbiornikiem wszystkich „niedozwolnych" zakordonowych myśli i uczuć, że tu będzie gorąco biło przytłumione gdzieindziej tętno polskości, że tu odezwą się milczące struny harf, na których rękę oparł północny despotyzm. I karmimy się nieprożną chyba i niezwodną nadzieją, że myśl, iż to, co się w głębi serca nosi, co boli i co łamie, można wypowiedzieć otwarcie, zachęci niejednego do literackiej pracy pomiędzy naszymi braćmi pod zaborem, rozszerzy niejednemu widnokrąg, niejednych skrzydeł lot spotęguje.

Każdy, komu nie są obce pisma warszawskie, tygodniki i miesięczniki, widzieć musi, w jak szczupłym zakresie piszący tam obracać się muszą, ileż rzeczy ani im widzieć, ani słyszeć nie wolno, ile rzeczy czuć — zbrodnia! Pragnieniem naszem jest, aby „Myśl" tych „uciśnionych stała się ucieczką".

Ktokolwiek uważnie przeglądał zeszyty naszego pisma, nie może nie przyznać, że staramy się iść zawsze w parze z wszechstronnym postępu pochodem, że nie krępowani ani zaściankową parafiańszczyzną, ani ubocznymi jakimiś względami, od siebie wypowiadamy śmiało i niezawiśle nasze zdanie o bieżących kwestyach, łamy zaś pisma naszego otwieramy dla wszystkich i dla wszystkiego, bacząc tylko na wartość danego nam utworu. Obchodzi nas zarówno literatura, nauka, jak i sztuka w najrozleglejszem znaczeniu; dalecy od zacietrzewiania się w pewnym kierunku, nie protegujemy szczególnie żadnego odłamu artystycznej twórczości, ani też nie walczymy z żadnym. Wszystko jest dobre, co jest dobrze zrobione, a nie pozbawione zacnej tendencyi.

Że zadania naszego, ani publiczności nie lekceważymy, dowodem na to są nazwiska autorów, których prace zamieszczaliśmy w „Myśli". Nadal, nie zamykając bynajmniej wrót dla początkujących dopiero talentów, byle to były talenty prawdziwe, starać się będziemy, jak i dotąd, o wybór firm renomowanych. Najznakomitsi autorowie, jakimi szczyci się obecna epoka w Polsce, przyrzekli nam swój współudział. i niedługo czytelnicy ujrzą ich nazwiska w „Myśli".

Wiemy, że to, cośmy dotąd zdziałali, jestto bardzo jeszcze mało, jestto zaledwie pierwszy i najniższy stopień schodów, na które wejść chcemy; wiemy, że dużo błędów dałoby się nam wykazać i dużo braków zarzucić — ależ to początek dopiero! Jest przed nami przyszłość, jest w nas wola i energia, a nadewszystko przywiązanie do podjętego trudu, jest nadzieja, że potrafimy odpowiedzieć wymaganiom chwili, a wówczas zdobędziemy sobie trwałą podstawę do dalszego istnienia. W taki lemiesz zbrojni, orać będziemy nasz zagon, i może on wyda plony niemarne.

Błędy nasze i braki niech i to tłomaczy, że nie mamy żadnego wzoru, że tego rodzaju pismo, jak nasze, jest w swoim rodzaju pierwszem, że opierać się musimy na własnej nieraz intuicyi, a *errare humanum est.*

Wrogowie frazesów, szumnych programów i napuszonych samochwalstw, nie będziemy się szeroko rozwodzić nad ideami, jakim służymy, bo one same znajdą odpowiedni wyraz w naszej działalności. Czas

za nas mówić będzie. Piękno i dobro, to καλὸν κ'αγαθὸν platońskie, piękno i dobro w zespoleniu z prawdą i miłością Ojczyzny: oto cel, do jakiego dążymy. A droga?.... Patrzymy prosto w cel, więc prosta nas droga powiedzie.

JAN KASPROWICZ.

IL AMORE DESPERATO.

Z zapisków przyjaciela.

Che tanto dà nel Sol, quanto nel rezzo
Questa scherana micidiale e latra.
DANTE. „Vita nuova". *Canz. XI.*

Jo vagno a te, come a persona pia,
Piangendo, Morte...
DANTE. „Vita nuova". *Canz. III.*

O jakaś ty piękna, przyjaciółko moja,
O jakaś ty piękna!...
SALOMONA „Pieśń nad pieśniami".

Szczęścia i bolu wnet mijają chwile...
Nie długo spocznę na wieki w mogile,
Nikt na mym grobie nie postawi krzyża,
Nie wzrośnie nad nim żadna lilja świeża,
Ze swej opieki nie puszczaj mnie Panie,
Miej nad skruszonem sercem zlitowanie...

Ach! czas nadejdzie, gdzie w skruchy godzinie
Strumień łez gorzkich z oczu ci popłynie,
Gdzie o mnie biednej pomyślisz inaczej,
Wtedy niech Bóg cię chroni od rozpaczy...
VIOLETTA. Akt III.

Uwaga. W papierach jednego z moich przyjaciół, nieszczęśliwych, bo z takimi przeważnie łączył mnie dotychczas dziwny fatalizm życia, znalazłem cały szereg urywkowych zapisków, odnoszących się do jego stosunku z jakąś kobietą. Zapiski te połączyłem w całość i wydaję niniejszem na widok publiczny.

Nie ulega wątpliwości, że psychiczna organizacya ich autora należała do rzędu nienormalnych. Same już cytaty z Danta, a więcej jeszcze sentymentalne strofy z Violetty, położone na pierwszej stronnicy manuskryptu, są tego najlepszem świadectwem. Zdaje się, że miał on nawet świadomość swojego stanu, porównując się z głośnym obłąkańcem włoskim Lazzarettim, któremu Lombroso w dziele „Geniusz i obłąkanie" obszerny poświęcił rozdział. Czyż zresztą — przynajmniej z punktu widzenia modnych dziś teoryj takich myślicieli, jak przytoczony codopiero uczony włoski i jego zwolennicy, — nie jest chorobliwym objawem przelewanie uczuć w tak kunsztowną i tak przeżytą formę poetycką, jak kanzona, lub przemawianie dziś, na schyłku dziewiętnastego wieku, językiem biblii? Co więcej! nawet użycie rytmu i rymu dla wyspowiadania się z bolu i tem samem dla sprawienia sobie ulgi, nie jest zapewne wynikiem umysłu zdrowego. Ale mniejsza o to: daleko znamienitszym dowodem tego jest cała idejowa, że tak się wyrażę, treść poematu, odzwierciadlająca duszę nieszczęśliwego, przynajmniej w pewnych jej fazach. Chęć mnie zdejmuje szczegółowszego zastanowienia się nad tem — musiałbym jednak zbyt wiele poruszyć momentów, dlatego pozostawiam wolne pole uwadze czytelnika. Skończyłbym tutaj, gdyby nie obowiązek wytłomaczenia się z jednego jeszcze powodu. Dlaczego — tak się może ten i ów zapyta — jeżeli zapiski posiadają znamiona chorobliwe, nie pozostały na zawsze w ukryciu?

Na pytanie powyższe mogę tylko dać tę odpowiedź: Sądziłem, że wzbudzi pewien interes obraz newrozy, której podlega dziś większa część umysłów wybitniejszych, organizacyj artystycznych, zmysłowych, wrażliwych, postawionych na przełomie dwóch epok, zmuszonych oddychać ciężką atmosferą kończącego się wieku, wychowanych w szkole najsprzeczniejszych wyobrażeń filozoficznych i społecznych, począwszy od idealizmu, przeradzającego się niejednokrotnie w wizye mistyczne, a skończywszy na najskrajniejszym materyalizmie; w szkole, gdzie deterministyczne poddawanie się losowi i panującym porządkom współzawodniczy z prometeuszowemi porywy, dążącemi do przeobrażenia duchowego ustroju jednostek i tem samem do „wyrwania bryły świata z dotychczasowych jej posad", do nadania jej kształtów, pełnych „boskiej harmonii", i postawienia jej na fundamentach nowych, o jakich marzy zarówno poetyczny „utopista", jak i zimny, ale kochający cnotę i pragnący szczęścia ludzkości, z więzów brutalnego samolubstwa wyzwolony myśliciel.

Z tych przyczyn, pomimo arcyromantycznego tytułu, poemat jest nawskroś nowożytny i dlatego też, zdaje mi się, ma pewną racyę bytu.

Co się stało z autorem zapisków, nie wiem: straciłem go z oczu przed laty kilku i pomimo starań, nie mogłem dowiedzieć się o nim nic stanowczego. Przypuszczam, że, jak wielu innych, jemu podobnych, zmuszony jest po burzliwej niewesołej, młodości, w jakim zapadłym kącie pchać nędzną taczkę żywota...

Lwów dnia 25 lipca 1891.

AUTOR.

I.

Bądź pozdrowiona!
Chociaż przelałaś do mojego łona
Ach! tyle kropel goryczy,
Że najlotniejsza nawet myśl nie zliczy,
Ile chwil ciężkich sprawiły mej duszy,
Bądź pozdrowiona!...
Dzisiaj już żadna łza ciebie nie wzruszy:
Na licu skona,
Przez twe błękitne niewidziana oczy,
Gdy ciemną strugą się stoczy
Z pod mej znużonej powieki,
Z tego źródliska,
Z którego tryska
Żalu, tęsknoty i rozpaczy strumień...

* * *

Rzeki,
Gdy demon burzy ponury,
Z ciężarnych urodzon mgławic,
Strojny u czoła wężami błyskawic,
Grom niosąc w dłoni,
Wypadnie w dzikiej pogoni
Z chmury
I rwącem skrzydłem o głębie ich trąci
I fale zmąci,
Czerpią otuchę z rozkosznych rozumień,
Że tam u szczytu,
Z wnętrza prabytu
Promienna jasność wystrzeli
I z ich topieli,
Co jest podobna do spienionej lawy,
Uczyni taflę przejrzystą i gładką...

* * *

I te świeżemi porośnięte trawy
Wzgórza nadbrzeżne, uwieńczone wieńcem
Srebrnych topoli;
I owe brzozy, pełne melancholji;
I owo niebo. gwiazdami, jak siatką
Złotą, zasnute;
I owa zorza, rumieńcem
Lśniąca wstydliwym, gdy z nocnego łoża
Powstaje naga i hoża —
Dziewicza zorza,
Czysta,
Ognista,
Jak hymn z natchnionej wyrzucony piersi,
Do której wichry nie dotarły lute;
I owo słońce,
Kiedy swe gońce,
Blaski promienne, posela na ziemię,
Każąc, by ludzie byli tutaj szczersi,
Ach! i jaśniejsi w tej duszy, gdzie drzemie
Zmrok nienawiści —
Wszystko, co nakształt czarodziejskich liści
Wiąże się w wielką girlandę stworzenia,
Będzie, przepełne rozkosznego drżenia,
W tym zdroju
Rzek rozchmurzonych kąpało
Niewinne ciało...
Tylko ma dusza nie znajdzie spokoju!
Tylko w jej toni wiecznie wichrzyć będzie
Zły duch orkanu, co zniszczył i ciebie...

* * *

Mogiła grzebie
Dzisiaj twe kształty; krawędzie
Dołu czarnego, co się w wnętrzu mieści
Bujnem zarosły już zielskiem!
O ty symbolu bezcześci!
Ucieleśnienie upadku!

Wyrazie grzechu,
Coś przyszedł z ciałem anielskiem
Na świat, a miałeś w oddechu
Straszną zarazę dla świata!
Ty kwiatku —
Ty, który będąc pełen barwnej pychy,
I wonne dla mnie rozwarłszy kielichy,
Strułeś na zawsze moje młode lata —
Albowiem jadem były twe haszysze;
Czemu w tę wieczną nie zapadł się ciszę,
W tę noc głęboką,
Razem z śmiertelną powłoką
I ten duch-robak, co stoczył tak wcześnie
Te twoje usta różowe,
Tak rozpalone. gdy we śnie
Anioły marzeń tuliły twą głowę
W swych ramion sploty;
Gdym ja, niebiańskiej zbywszy się tęsknoty,
Przed majestatem skażonej miłości
Klękał, całunek chłonąc za całunkiem,
I upojony tym nieszczęsnym trunkiem
Na twojej piersi zasypiał przebiałej?!..
Dlaczego duch ten pośród żywych gości —
Przy moim boku i sprawia że cały
Drżę i upadam i ginę
W tę prześladowań godzinę,
Kiedy on duszę mą szarpie
Jako piekielne te harpye?!..
Dlaczego z grzechu poczęta
Nademną jeszcze władnie twa potęga?
O bądź przeklęta!
Że jeszcze stamtąd ręka twoja sięga
Do mojej duszy, co jak kwiat jest zmięta,
O bądź przeklęta!

* * *

Przeklęte niechaj będą te urocze chwile,
Co pierwsze mnie ku twoim popchnęły ramionom,
Co duszę mą spaliły, jak skrzydła motyle,
Gdy w ogniu jarej świecy bezpowrotnie spłoną!
Przeklęte niechaj będzie to ucho, co dało
Porwać się słów twych muzyce!
To ciało,
Które do twego przylgnęło w płomiennej
Słodkich całunków rozkoszy;
To lice, które przy twojem żarem się oblało;
Niechaj na wieki! na wieki
Będzie przeklęte!...
Szatan daleki
Tego wspomnienia, co dziś osłonięte
Zmrokiem boleści,
Niechaj mi spokój wypłoszy,
Kiedy, łagodny i senny,
W zmierzchu godzinie,
W której wiatr cicho szeleści,
A miesiąc srebrny zjawia się na niebie,
Spłynie
Na oczy, co raz pierwszy zobaczyły ciebie!

* * *

O wieżo z kości słoniowej,
Lecz w której miejsca niema dla ołtarzy!
O Dawidowy
Tumie wspaniały, gdzie się ogień jarzy,
Ale nie ogień świętych całopaleń!
O gwiazdo morska, co nad głębinami,
Gdzie ludzki statek dzikie fale chłoszczą,
Lśnisz z niedostępnych oddaleń!
Odblask twój mami
Portem zbawienia, a wiedzie w sam środek
Bezdennej głębi, gdzie goszczą
Siły piekielne, co okrętu przodek
W żelazne ująwszy dłonie,
Sztorcem ściągają go w tonie,
Ażeby ginął, jak ongi, z niebiańskiej
Strącony góry, chór duchów skrzydlaty
Przepadł w czeluściach zatraty!
O niebieska bramo,
Z pereł wzniesiona i szczerego złota,
Ale nie na to, aby przez nią cnota
Swe tryumfalne święciła pochody!
Zbrodnia rozpusty, która serce wrzody
Rozjątrzonymi toczy,
Bramą tą kroczy!
O czyste dusze kalająca plamo!
O fałszu, z kłamstwa szatańskiej
Mocy poczęty,
Bądźże przeklęty!...

* * *

Nie! nie! niech słowo to na ustach skona!
Bądź pozdrowiona!
Ty potępiona
I umęczona
Własnemi grzechy i grzechy mojemi
Na tej tu ziemi,
Bądź pozdrowiona!
Chociaż przelałaś do mojego łona
Ach! tyle kropel goryczy,
Że najlotniejsza nawet myśl nie zliczy,
Ile sprawiły mej duszy
Ciężkich katuszy,
Że jest jak rzeka zwichrzona,
Ty potępiona
I umęczona
Własnemi grzechy i grzechy mojemi
Na tej tu ziemi:
Bądź pozdrowiona!...

(D. c. n.).

ELIZA ORZESZKOWA

STUDYUM

PRZEZ

J. NITOWSKIEGO.

(Dokończenie).

Julka żal nam tak tylko, jak każdego człowieka, co siły swoje marnuje bez użytku dla społeczeństwa; natomiast więcej stokroć żałujemy Lusi, wnuczki ex-obywatela Otockiego, który, straciwszy cały majątek, nie waha się przyjąć w ostateczności posady szwajcara hotelowego, byleby módz utrzymać i kształcić jedyną pociechę swej starości, sierotę po zmarłym zawcześnie synu swoim. Lusia, mieszkając u rodziców Julka, powoli nieznacznie poczyna przejmować się jego ideami, zapalać się do nowych bogów, zatracając z drugiej strony te najwznioślejsze uczucia, któremi żył jej dziadek i które usiłował przelać do dziecięcej duszy. Tęskne dumy Niemcewicza, które stary Otocki czytywał, coraz rzadziej dają się słyszeć w jej ustach, bo młoda dziewczyna staje się z każdym dniem coraz większą wielbicielką nowych idej i posłuszną uczennicą Julka, dla którego ciche spełnianie obowiązków jednostki w swem kółku rodzinnem wydaje się czemś marnem i nikłem wobec pracy nad reformą społeczną, a tradycye ojców jego i miłość ojczyzny — mrzonką, godną politowania tylko. Po roku pobytu w uniwersytecie Julek wraca na wakacye do rodzinnego miasta, całkowicie oddany nowej sprawie i w Lusi zyskuje ostatecznie bezwzględną adeptkę. Rodzice Julka i stary Otocki przeczuwali wiszącą nad ich dziećmi burzę, ale zaradzić złemu nie zdołali i nie umieli zresztą. Lusia po wakacyach ucieka z Julkiem do stolicy, pozostawiwszy starego opiekuna w bezgranicznej rozpaczy.

Takie osobniki, jak główni bohaterowie „Widm“, posiadają wielką ilość sił żywotnych i zapału, co, na inną skierowane drogę, mogłoby wiele przynieść korzyści społeczeństwu. Owiani nową atmosferą, obcy temu wszystkiemu, co stanowiło treść uczuć ich rodziców, ludzie ci zapatrują się na swoje społeczeństwo jak na trupa, którego wskrzesić już nie można. Oto słowa Lusi w liście jej pisanym do dziadka przed ucieczką z Julkiem: „Jeżeli zapytasz mię, dziaduniu, dlaczego pracować niechciałam tutaj u boku twego, pod rodzinnem niebem i w społeczeństwie rodzinnem, to powiem

ci, że niebo to wisi nad ziemią, jak ołowiane wieko trumny, do której zstępować ja niechcę, a społeczeństwo to wydaje mi się orszakiem istot sennych i spłakanych, wśród których nudno mi, smutno.... Jadę więc w świat szeroki. Tam jestem potrzebna, jak ptak, z braćmi swymi pod niebo lecący".

Drugą tej kategoryi pracą Orzeszkowej jest piękna i nader misternie w swych szczegółach wykonana powieść pt.: „Sylwek Cmentarnik". Bohater jej Sylwek, nieprawe dziecko bogatego obywatela ziemskiego Tarzyca i ubogiej włościanki, jest typem tak oryginalnym, jakich w naszem piśmiennictwie nadobnem znajdzie się bardzo niewiele. Człowiek ten, w gruncie najszlachetniejszych porywów, bogato uposażony od natury i noszący w swej piersi zadatki geniuszu nawet, gdyby był wychowany w warunkach odpowiednich dla siebie, mógłby, jak i Julek, stać się bardzo pożytecznym członkiem społeczeństwa, — zaniedbany, głęboko czujący swą krzywdę i upokorzenie, z winy rodziców, skazany na nędzę i tułaczkę — lgnie duszą i ciałem do propagatora nowych idei w pół mistyka, w pół waryata Szymona Kępy.

Postaci tej samej kategoryi, co bohaterowie dwóch wyżej wymienionych prac Orzeszkowej, znajdujemy jeszcze i w kilku innych powieściach, gdzie nie występują one na pierwszy plan i są znacznie słabiej zarysowane. Do takich należą: Ildefons Porycki w „Elim Makowerze", Eugeniusz Skiba w „Pierwotnych" i wreszcie doskonały typ pseudoemancypantki Pauli Mirewicz w noweli pt.: „Bańka mydlana". Wszystko to są charaktery wypaczone, chorobliwe, w znacznej mierze samolubne i w ogóle uosabiające ujemne strony idei, której hołdują.

Obok większych powieści, zawierających w sobie przeważną część rozmaitych kwestyj i prądów współczesnych w naszem społeczeństwie i całą ogromną galeryę najróżnorodniejszych typów i charakterów, składających ogół doby dzisiejszej, dała nam Orzeszkowa kilka tomów nowel, prawdziwych arcydziełek pod względem treści i wykonania. Gdy niektórym powieściom, zwłaszcza pisanym w pierwszych latach występu autorki na pole działalności piśmienniczej, a poruszającym kwestyę kobiecą przeważnie, można zarzucić cokolwiek pod względem budowy i artyzmu, nowelki zdołają zadowolnić najwybredniejszego krytyka i pozostaną bezwątpienia nadługo wzorem tej nowej gałęzi literatury nadobnej. Wszyscy niemal bohaterowie tych nowel są to ludzie cierpiący, krzywdzeni przez los i współbraci, a tem samem godni najwyższego współczucia. Występują oni przed nami takimi, jakimi są w rzeczywistości; charaktery ich skreślone są dokładnie bez cienia przesady, co zresztą da się powiedzieć i o wszystkich postaciach w powieściach autorki. W ogóle można czynić pewne zarzuty Orzeszkowej, tyczące się budowy jej utworów, ale nikt, sądzę, nie dopatrzy się błędu psychologicznego i nieprawdopodobieństwa w skreślonych przez nią ludziach. Charakterów bądź niezgodnych w ogóle z naturą ludzką, bądź nieistniejących w chwili obecnej w naszem społeczeństwie niema w jej powieściach; natomiast mamy wiele typów, skreślonych pod każdym względem prawdziwie, po mistrzowsku. Orzeszkowa ma tę wielką zaletę, że nigdy nie tworzy charakterów w swej wyobraźni, ale podpatruje ludzi w świecie rzeczywistym, że nie oblicza na efekt, nie obmyśla zawiłych a zaostrzających bezmyślną ciekawość sytuacyj i kolizyj i dziwacznych niemożliwych charakterów, ale prostemi słowami opowiada o tych tysiącznych biedach i nędzach, których ofiarą ciągle padają jednostki. Zamiast mdłych, często karykaturalnych istot, których taką moc wytworzyła najnowsza nowelistyka — w powieściach Orzeszkowej widzimy ludzi, skreślonych z wielką znajomością natury człowieka, widzimy najróżnorodniejsze zagadnienia społeczne, co świadczy i o głębokiej nauce autorki i o doskonałej znajomości wymagań czasu i potrzeb społeczeństwa. Czytając utwory naszej powieściopisarki, mimowoli zadajemy sobie pytanie, gdzie właściwie leży ta siła autorki, co umie oddać tak wiernie nędzę ludzką moralną, umysłową i materyalną, co umie prostemi słowami do głębi wzruszyć czytelnika i wywołać w nim najróżnorodniejsze uczucia sympatyi, uwielbienia, litości lub wzgardy dla przesuwających się przed jego oczyma postaci? Siła ta spoczywa przedewszystkiem w wielkiem uczuciu miłości, spływającej na wszystko i wszystkich. Orzeszkowa boleje prawdziwie nad niedolą upośledzonych i nad smutnemi objawami w życiu swego społeczeństwa i dlatego, wsparta ogromnym talentem i wielkiem wykształceniem, zdolną jest tworzyć arcydzieła. Wielu, zaliczając Orzeszkową do rzędu pisarzy-realistów, zarzuca jej brak ideałów podnioślejszych. Jest to zarzut tak gołosłowny, że w niedalekiej przyszłości wyda się każdemu myślacemu człowiekowi czemś bardzo niedorzecznem. Oto, co mówi autorka, tłómacząc się z tego zarzutu w dziełku swem pt.: „Kilka słów o kobietach": „Prawość niezłomna, szczerość obawy nieznająca, głębokie ukochanie każdej sprawy dobrej i wierne jej służenie, możność walki skutecznej ze złemi mocami, istniejącemi w nas i w koło nas, gotowość do ofiar w potrzebie, spełnienie obowiązku zawsze, uwielbienie gorące wszystkiego, co moralnie potężne i piękne, obrzydzenie dla zła, wyrozumiałość i przebaczenie dla złych, współuczestniczenie z całych sił, zdolności i chęci w zbiorowych pracach, przynoszących trwałość i postęp rodzinom i narodom — oto według mnie religia ideału, której przelania w piersi i umysły rodzinnej społeczności mojej pragnę więcej, niż wszystkiego na ziemi" (O kobietach str. 4). Słowa te znajdują, jak widzieliśmy, swoje potwierdzenie w całej powieściopisarskiej działalności autorki.

Nie ulega wątpliwości, że Orzeszkowa jest powieściopisarką realistyczną, ale realizm jej bynajmniej nie wyklucza czci dla ideałów w najwznioślejszem znaczeniu tego słowa, nie uznaje tylko mrzonek bezpłodnych, czyniących człowieka niezdolnym do życia praktycznego, które powinno wyrabiać, kształcić i uszlachetniać jednostki. Jej ideały spoczywają w pracy, miłości i rozumie pojętych ofiarach jednostek na korzyść ogółu. Orzeszkowa, jako powieściopisarka, kreśli życie takiem, jakiem jest, i w niem odnajduje prawdziwe ideały, których żadną miarą gdzieś w sferach gwiazd szukać nie należy. Dość przyjrzeć się bacznie życiu organizmów, mrówczej pracy narodów, duchowym czynnikom, działającym w piersi jednostek i społeczeństw całych, aby wyrobić sobie zdrowe pojęcie o pięknie istotnem, o ideałach. W powieściach Orzeszkowej to właśnie najbardziej nas zdumiewa i zachwyca, że widzimy z wielkim artyzmem złożone wszystkie różnorodne sprężyny i koła tej olbrzymiej machiny, co się człowiekiem zowie. W połączeniu z sobą tych kół i sprężyn, w nieustannym ich ruchu prawidłowym i w tej sile, co zmusza je do ruchu i prawidłowości, leży bezwątpienia najszczytniejsza poezya, tak podziwiana u Szekspira, poezya, której kapłanką śmiało możemy nazwać Orzeszkową. Taki właśnie realizm, pojęty rozumnie i odczuty po ludzku, staje się ostatnim wyrazem najdoskonalszego idealizmu.

Ważnym niezmiernie przymiotem Orzeszkowej, jako powieściopisarki, jest także przedmiotowość, co bezwątpienia stanowi cechę umysłów wyższych. Przymiot ten daje jej możność rozpatrywania spokojnego różnych zjawisk życiowych i charakterów ludzkich ze wszystkich stron dodatnich i ujemnych, wystawiania każdej rzeczy w świetle jej właściwem i następnie wydawania sądów trzeźwych i sprawiedliwych. Dzięki właśnie tej przedmiotowości Orzeszkowa nigdy nie wpada w ostateczność, a człowiek w jej powieści zawsze jest tem, czem jest w rzeczywistości: naturą, złożoną z najróżnorodniejszych czynników psychicznych z rozmaitemi zaletami i wadami, istotą, na której utworzenie się i kształtowanie wpływają liczne okoliczności zewnętrzne.

Takim jest w pobieżnych rysach skreślony obraz dwudziestopięcioletniej działalności Orzeszkowej na polu powieściopisarstwa, które w dobie

obecnej zyskało w niej najdzielniejszego wyobraziciela, biorącego pióro do ręki nie dla sławy i próżności, ale dla gorącej miłości ku naszemu społeczeństwu. Orzeszkowa pisze, bo kocha i wierzy i dlatego właśnie na nieśmiertelną cześć sobie zarabia.



NOTATKI Z WAKACYJ.

IV. Staw.

Staw ukrył się w gąszczy leśnej, jak mizantrop, dla którego jedynie samotność ma jeszcze urok. Dobrze mu tutaj, gdzie nic nie widzi prócz nieba nad sobą, kwiatów w pobliżu i wysokich świerków nieco dalej; gdzie nic nie słyszy prócz szeptu ziół i śpiewu ptaków i poważnego szumu boru. O świecie innym, w którym obrazy i dźwięki mieniają się ustawicznie, w którym wszystko w ciągłych kipi przemianach, przynosi mu wiadomość chyba ów mały, nikły strumyk, zasilający łono stawu swoją wodą. Staw słucha paplaniny fal jego obojętnie, ni to starzec szczebiotu dziecka; słucha i milczy, jakgdyby echa tego innego życia, innego świata nie godne nawet były uwagi.

Wyszukałem samotnika przypadkiem, idąc krok w krok za rzeczułką. Bezsilny był; nie mógł mnie wygnać, choć wierzę, iż uczyniłby to z chęcią. Musiał się odtąd nieraz dzielić gorzką rozkoszą samotności z istotą, która jak on, pragnęła ciszy tylko i spokoju, małego kawałka nieba nad sobą, trochę kwiatów dokoła i owych murów lasu, o które wrzawa ludzka obija się bezsilnie.

Siadałem nad stawem, wpatrując się w jego twarz ciemną, jak pesymizm naszego wieku — nieruchomą, jak pojęcia zacofańców.

A jednak i on miewał chwile, w których ożywiał się i pałał.

Było to wówczas, gdy słońce, które cały dzień stroniło odeń, chyląc się ku zachodowi, rzucało tu przez wyrąbaną w lesie szczelinę garść swych promieni. Miliony drobnych iskier ślizgały się niespokojnie po powierzchni wody. Patrząc na nie, wziąćby je można za rzesze myśli i uczuć, które ten staw tłumił w sobie i które oswobodziwszy się nagle od ucisku, wypłynęły na wierzch, każda z kagankiem olśniewającym w ręku. Przy ich świetle oblicze samotnika traciło swą nieskażoną równość; pokazywały się na niem bruzdy płytsze i głębsze, fałdy, drgające rytmicznie na tempo nieznanych jakichś wzruszeń; tu i owdzie tworzył się nawet wir od fal drobnych, które o brzeg obite, wracały, biegły w koło, a potem rzucały się znowu ku brzegom, ni to, aby uciec z pustkowia.

Wśród tego iskry igrały coraz więcej, pragnąc snać w jak najkrótszym czasie użyć jak najwięcej rozkoszy. Światło ich migało demonicznie, jak oczy rusałek. Było coraz więcej tych błysków migotliwych; gromadki ich skupiały się, traciły swą odrębność, aż wreszcie wszystkie w jedną świetlaną spłynęły smugę. Wydało mi się, jakby na łono stawu spadł miecz płomienny i przeciął je na dwoje, aby wydobyć z rozpłatanego serca tajemnicę, którą samotnik tak troskliwie ukrywał.

Zanim to jednak uczynił, wytrąciła go niewidoma ręka. Dokoła legła znowu szarość półmroku; staw sposępniał, poczerniał, stał się, jak przedtem, nieruchomy, spokojny, gładki. Z wyniosłą obojętnością zasklepił się w swych własnych myślach, nie zwracając uwagi na plotki strumyku, na westchnienia znudzonego szuwaru, na przekomarzanie się bodzinków i centuryj i przygłuszającą wszystko dysputę świerków

V. W słońcu reklamy.

Kto z nas słyszał przed laty dziesięciu o istnieniu tego zakątka na ziemi?

Dzisiaj jego nazwisko otacza świetna aureola; znają je nawet dzieci. Wiemy dokładnie wszystko, co się do niego odnosi; nie wiedzieć byłoby zbrodnią w oczach wielu. Łatwiej przebaczenie uzyskałaby nieznajomość dziesięciu przykazań, lub wątpliwości co do pewnych pozycyj tabliczki Pitagorasa.

Wiemy tedy, że miejscowość X. leży w powiecie Y. i że ostatnia jej stacya kolejowa jest przystanek Z. Położenie urocze; obfitość lasów szpilkowych wytwarza w powietrzu dużo ozonu; wzniesienie nad poziom morza znaczne; wody zawierają takie a takie pierwiastki chemiczne. Całą litanię recytujemy bez zająknienia, bo albo sami byliśmy w X., albo nasłuchaliśmy się o niem od znajomych, albo wreszcie pouczyły nas o wszystkiem niezliczone notatki dziennikarskie.

Po powrocie z X., opowiadamy znajomym z pewną dumą, gdzie spędziliśmy czas letniego wypoczynku. To wprawdzie dużo kosztuje, ale trudna rada. O życiu tamtejszem, o stosunkach towarzyskich wyrażamy się wprawdzie nieco surowo, tonem jednak, który zdradza, że nasze wymagania sięgają ponad zwykły poziom i że to, co nas nie zadowoliło, innym powinno w zupełności wystarczyć.

Nasze panie roznoszą po świecie sławę toalet, które w X. można było widzieć na reunionie. Kremowa roba hrabiny A., koronki księżnej B., brylanty bankierowej C. przechodzą po pomoście tych opowiadań w dziedzinę tradycyi.

Mężczyźni znowu szeroko rozwodzą się o pięknych twarzyczkach, które ich w X. zachwycały. Ten i ów przeplata swe wzmianki półsłówkami i spojrzeniami znaczącemi; czas upływał mu tak wesoło, tak przyjemnie; zrobił znajomość, ach, jaką znajomość; to tylko w X. trafić się może!

O zaletach kuracyjnych zdrojowiska mówi się tylko chorym, radząc poważnie, aby na rok przyszły nie omieszkali do X. pojechać. Rak nie rak, suchoty nie suchoty, w X na wszystko poradzą, choroba ustąpi, jakby ręką odjął.

A jednak — powtórzmy — przed laty dziesięciu nikt ze sławiących dziś X., nie wiedział nawet tyle, że ono istnieje.

Jakimże cudem poznano się nagle na jego wartości?

To ktoś przedsiębiorczy wpadł na pomysł wyzyskania naturalnych skarbów miejscowości, to ktoś sprytny umiał je przedstawić, jako lek cudowny, to ktoś wpływowy opromienił X. splendorem swego pobytu.

. . . .

Przedemną leży książeczka niepozorna, o której cicho i głucho w szpaltach dzienników i pomiędzy ludźmi.

Genialna zdolność, jedna z cudownych sił przyrody, nagromadziła w niej wspaniałe obrazy, napełniła te karty balsamicznem tchnieniem, otwarła w ich głębi źródło zdrojów przeczystych, orzeźwiające i pokrzepiające.

Mimo to — wieluż zna ją? I czemu przeszła niespostrzeżenie w niepamięć?

Bo nikt przedsiębiorczy, nikt zręczny, nikt wpływowy nie użyczył jej swego poparcia.

Owoce sławy dojrzewają zazwyczaj tylko w słońcu reklamy....

VI. Burza.

Od wschodu poczęły niespodziewanie nadpływać chmury. Opierając się ramionami o szczyty górskie, podskakiwały, potem zaś biegły naprzód, podobne do zwartej falangi rycerzy.

Zdumiały się zrazu na ich widok góry, obrzeżające w tem miejscu widnokrąg. Po chwili lasy ich i łąki poczerniały, rzekłbyś, oblokły się w stalową zbroję. Z poza tarczy mgły gęstej wyzierały z groźnym spokojem szermierza, gotowego do obrony.

Przesuwając się nad ich stalowymi hełmami, chmury zajęte były widocznie czem innem; nie myślały nawet o wyzwaniu tych gigantów do walki. Ledwie od czasu do czasu padł piorun nakształt strzały mimochodem rzuconej. Wijąc się ognistym zygzakiem godził w łono ciemnych olbrzymów; huk gwałtowny i drżenie zdradzały, że nie mija się z celem....

Strop nieba tymczasem był już do połowy zajęty przez zuchwałych najeźdzców. Jednolita armia chmur dzielić się tu zaczęła na coraz mniejsze oddziały. Środek zajęła potworna postać, z miną wodza, szykującego hufce do bitwy.

Olbrzymie cielsko kształtu wieloryba pokrywa czarna łuska; grzbiet jaśniejszy, szary prawie podnosi się, to opada; brudno-żółte pletwy u łba falują groźnie. Potwór spiesząc, huczy i szumi dziko, jakby gotował się do zagłady świata.

Lęk opanowuje naturę wśród mroku.... Zaniepokojone krowy parskają nozdrzami, zadzierają ogony, pędzą z pastwiska na oślep przez rowy i zboże; drzewa, zasadzone wzdłuż drogi rzucają się konwulsyjnie; w powietrzu pełno ptactwa — wróble, jaskółki pospołu ze zbłąkanym jastrzębiem wytężają skrzydła, by dopaść bezpiecznego schroniska.

Nagle ognista strzała przeszywa powietrze; za nią druga, trzecia i dziesiąta. Ogłuszający huk wstrząsa całą atmosferą; równocześnie odzywa się szum ostry, przeciągły — to deszcz, pomięszany z gradem spada, jakby ziemię miał zasiec i zalać.

Rzuciwszy z swej puszczy pioruny i ulewę, czarny potwór zatrzymał się na chwilę. Nie poprzestanie on jednak na tym drobnym tryumfie, on chce pożreć słońce, które u zachodu mimo wszystko pała dotąd jeszcze; które jakby drwiąc z najeźdzcy, przeciska swe promienie przez pryzmat deszczowych kropel i rozhukaną nawałę chmur zasuwa w obrożę tęczy.... Tak, on musi je pożreć; wszak po to wyruszył w pole....

Rozpędza się znowu, rozdziawia szeroko paszczę, — chwila jeszcze, a połknie złotą kulę, jak pigułkę....

Już ją połknął.... Lecz — o dziwo — słońce uwięzło mu w gardzieli; olbrzym krztusi się, chciałby je wyrzucić — nie może. Ognista masa rozdziera mu gardziel, posuwa się dalej ku wnętrzu, rozszczepia go całego na dwa duże płaty i zuchwały Goliat, jeszcze przed chwilą tak pewny zwycięstwa, poszarpany opada bezwładnie na dół, rozpływa się w miliony drobnych kropel, znika wreszcie bez śladu. Popłoch opanowuje jego armię; oddziały, które szły na pogrom światła pierzchają rozpaczliwie; blaski gonią niedobitków i stawiają złote stopy na ich łbach szkaradnych....

St. Rossowski.

POTĘGA ZIEMI W POWIEŚCI WSPÓŁCZESNEJ.

Chcę mówić o jednem z najbardziej zajmujących zjawisk współczesnej literatury europejskiej, o przedstawieniu w niej stosunku ziemi do człowieka, lub raczej władzy ziemi nad człowiekiem. W literaturze powieściowej temat ten wywołał kilka zjawisk pierwszorzędnej wartości — najlepszy dowód, że temat to żywy, piekący i poruszający całą głębię interesów społecznych i ogólno ludzkich. Lecz ażeby dalsze moje rozumowania były zrozumiałe, muszę naprzód słów kilka powiedzieć o tem, co to jest sama powieść współczesna.

I.

Ten rodzaj poezyi, który nazywamy powieścią, początł się bardzo dawno, jeszcze w starożytnej Grecyi w czasie upadku jej literatury. Stara powieść grecka, było to zazwyczaj opowiadanie o cudownych, strasznych lub wesołych przygodach dwojga kochających się wzajemnie istot, rozłączonych niechęcią i intrygami zawistnych osób, a dochodzących wreszcie do szczęśliwego połączenia. Osoby działające przedstawione są zazwyczaj szablonowo: czarne charaktery, szlachetne charatery, figury naiwne lub śmieszne we wszystkich powieściach podobne są zupełnie do siebie. Główny interes polega w opisach zajmujących, zazwyczaj nieprawdopodobnych przygód, podróży morskich, obcych krajów i zwyczajów. Szekspirowski dramat „Perykles książę Tyru", przerobiony z jednej z takich powieści starogreckich, daje dość dobre wyobrażenie o ich treści, chociaż geniusz Szekspira ożywił tę treść całym szeregiem figur żywych, wspaniale indywidualizowanych, czego w oryginale oczywiście niema.

Rozkwit powieści greckiej w II i III wieku po Chrystusie, był czasem wzrostu i zwycięstwa religii chrześcijańskiej. Chrystyanizm, który w czasach swej ciężkiej walki z pogaństwem pochwytywał i przetwarzał dla swych celów prawie wszystkie rodzaje ówczesnej literatury greckiej i rzymskiej — od listów otwartych i powieści historyczno-symbolicznych do dyalogów filozoficznych, marszowych pieśni wojskowych, hymnów religijnych i pamfletów politycznych, nie mógł też pominąć tak potężnego i poczytnego środka propagandy, jakim była powieść. Według wzorów greckich powstaje cały szereg powieści chrześcijańskich, jak pseudoklementyny, gnostyczne życiorysy 12 apostołów, a szczególnie w tym względzie zajmujące akta Tomasza i akta Jana ewangelisty, a z czasem obok tych utworów grupuje się mnóstwo żywotów świętych i męczenników, zazwyczaj zupełnie fantastycznych, lecz czasem kryjących cenne dane historyczne pod osłoną przygód wymyślonych. Osnowa tych powieści chrześcijańskich zazwyczaj ta sama, co i w powieściach pogańskich. Para zakochanych, pochodzących zazwyczaj od rodziców pogan; jedno z nich nawraca się na chrystyanizm, cierpi prześladowania, musi uciekać, kryć się, doznawać tysiącznych przygód; drugie, nie porzucając jeszcze pogaństwa, z miłości porzuca dom rodzicielski, idzie za ukochaną osobą na niepewne losy, by po długich cierpieniach, zazwyczaj w cudowny sposób nawrócić się również na wiarę Chrystusa, spotkać się z ukochanym i z nim razem zginąć za wiarę. Jak widzimy, powieść doznała tu ogromnej zmiany, nie w treści, nie w formie, ale pod względem atmosfery moralnej, która w niej wieje. Podczas gdy powieść pogańska zaspakajała tylko ciekawość, łechtała nerwy i podbudzała fantazyę, jak dawka haszyszu, a zresztą w połączeniu się dwojga kochających istot, widziała najwyższy cel życia, poza którym dalej nie było już nic zajmującego, popowieść chrześcijańska, pozostawiwszy dawną fantastyczną dekoracyę, a nawet wzmocniwszy element cudowności, wstąpiła w wyższą sferę, rozszerzyła niezmiernie skalę uczuć. Walka wewnętrzna między światopoglądem pogańskim a chrześcijańskim, bezwzględne oddanie się jednej idei, jednej wierze, jednemu przekonaniu, wyrzeczenie się uciech świata i wszystkiego, co w nim było najdroższego, poświęcenie swej własnej miłości, swego ja dla miłości Boga — oto przewodnie idee tej nowej powieści. Idee te były tak wysokie i szczytne, że późniejsze pokolenia nie mogły już ich zrozumieć i w naiwnej niekrytyczności przyjmowały za prawdę historyczną to, co było tylko fikcyą poetyczną, wyrażającą poglądy i ideały pewnych epok i przeznaczoną dla propagandy tych ideałów. Bohaterów owych powieści fantastyczno-moralnych zaliczono w poczet świętych, (święty Eustachiusz, Eufrozyna, Barlaam, Joazaf, Teofil i t. p.); na wzór dawniejszych legend tworzyły się nowe i urosły w olbrzymią literaturę, która zapełniła przynajmniej w trzech czwartych częściach ogromny zbiór benedyktyńskich *Acta Sanctorum*, a w wiekach średnich w tysiącznych streszczeniach, synaksaryuszach lub też jako *Legenda Aurea* miała ogromny wpływ na całe ukształtowanie się umysłowości europejskiej.

Dziś już nie ulega wątpliwości, że jedną z przetworzonych odnóg tej powieści grecko-chrześcijańskiej był późniejszy francuski romans rycerski. Przeróbka odbyła się pod wpływem zmienionych stosunków społecznych, jakoteż

wskutek napływu nowych motywów legendowych od narodów celtyckich i germańskich. Starofrancuskie *Chansons de geste*, pieśni o Karolu Wielkim i jego paladynach, są pierwszym wytworem tej mięszaniny. Jeszcze wyraźniej występują elementy chrześcijańskie obok celto-germańskich w poematach a następnie powieściach o okrągłym stole króla Artura i o świętym Gralu; kurtoazya i kult dam styka się tu z kultem Panny Maryi. Z czasem element świecki bierze przewagę, powstaje romans rycerski naśladujący pierwotne powieści greckie, tylko że zazwyczaj daleko od nich nieudolniejszy, pełen cudownych przygód, opisów obcych krajów, ludzi i przyrody. Jeden wszakże ważny postęp należy tu zanotować. Atmosfera moralna tych powieści nie jest wyższą od starogreckiej, ale bohaterowie ich są zazwyczaj ludźmi wielkiej siły, energii, nieraz niezłomnej woli. To już nie greccy zakochani młodzieńcy, piękni jak Apolliny, lecz miększi, smutni, płaczący nieraz i podbijający chyba serca pięknych królewien na obcych wybrzeżach. Tu widzimy rycerzy zahartowanych w niewygodach i bojach, śmiałych i podbijających królestwa potęgą swej dłoni i swego miecza. Typ bohatera wojen krzyżowych sformował się w powieści prędzej niż w rzeczywistości.

Panowanie tego romansu w zachodniej Europie trwało, mimo świetnej persyflaży Arjosta i Berniniego, prawie aż do końca XVI wieku, kiedy genialny Cerwantes położył mu kres swym Don Kichotem. Była to nietylko parodya romansu rycerskiego, nietylko pierwszy i najznakomitszy romans humorystyczny, było w nim coś nierównie większego. Był to pierwszy stanowczy zwrot do realistycznego przedstawienia rzeczywistego życia, rzeczywistego ludu, lecz zarazem pierwsza powieść, w której spróbowano głębszą zapuścić sondę w charakter bohatera, pokazać obok stron śmiesznych także sympatyczne a nawet wzniosłe, wypowiedzieć ustami tego bohatera lub innych działających osób pewne myśli krytyczne i pozytywne o stanie współczesnego społeczeństwa, jego potrzebach i dążnościach. Jednem słowem, w Don Kichocie musimy widzieć pierwszą powieść nowszego zakroju, studyum społeczno-psychologiczne, chociaż na tle tego studyum autor rysuje jeszcze wesołe, nieraz karykaturowane arabeski w starym rycerskim stylu.

I Don Kichot wyprzedził swój czas tak samo jak powieść chrześcijańska. Szeroka publiczność śmiała się z jego przygód, lecz nie zwracała uwagi na wzniosłe i humanitarne jego idee. Pod wpływem Don Kichota rozwinął się, chociaż powstał już przed nim płasko-humorystyczny romans złodziejski *(Schelmenroman)*, który znowu objął panowanie w Europie i dzierżył je prawie przez dwa wieki. Równocześnie w Anglii romans rycerski przemienił się w powieść dydaktyczno-sentymentalną. Stosownie do zmienionych warunków życia, po upadku rycerstwa i w powieści występują już bohaterowie inni, potomkowie rycerskich rodów, którzy oddziedziczyli po nich majątek i tradycye szlacheckie. Są to figury kochliwe, czułe, tkliwe, pełne wszelkich cnót i lubiące godzinami, dziesiątkami stronnic rozprawiać o tych cnotach, o powinnościach, o szlachetności, miłości i grzeczności. Klasycznym przykładem tego rodzaju powieści jest znakomity Telemak Fenelona.

Ten podwójny typ powieści humorystycznej i pełnej przygód, i powieści pouczającej i ckliwej, wytwarza przy końcu XVIII wieku nowe typy powieściowe: Nową Heloizę Russa, utwór ogromnie ważny w dziejach literatury, gdzie obok dawnego teoretyzowania i moralizowania, spotykamy głęboką analizę skomplikowanych zjawisk psychologicznych, i Wilhelma Meistera Goethego, powieść pedagogiczną, ukazującą rozwój charakteru bohatera, a kończącą się propagandą wolnomularstwa.

Za zadanie powieści, według tego jak ją zrozumiano przy końcu XVIII i z początkiem XIX wieku, można uważać: rysowanie charakterów i ich rozwój psychologiczny, a także propagandę pewnych idei politycznych, społecznych lub religijnych, w formie więcej dydaktycznej, niż poetycznej. Prawda, powieść ta usiłowała jeszcze tworzyć charaktery „typowe“, t. j. podchwytywać tylko rysy znamienne rodzajowe, a odrzucać szczegóły „przypadkowe“, potępiała portret literacki jako ujmę twórczości poetyckiej i prawie zupełnie nie poczuwała się do obowiązku malowania tła. Russo był prawie pierwszym, który wprowadził do powieści malowanie przyrody. Tła społecznego i jego związku z bohaterem nie podejmywał ani on ani Goethe, wskutek czego i rozwój bohaterów i charakterystyki ich w tych powieściach wiszą w powietrzu, wydają nam się dziś blade, niewyraźne, jak wybladłe staroświeckie malowidła lub stare dagerotypy.

Zrozumienie tej prawdy, że człowiek jest rezultatem swego otoczenia, rozwoju swych przodków, otaczającej go przyrody i otaczającego go społeczeństwa, i że ze wszystkimi tymi czynnikami wiążą go tysiączne, nierozerwalne nici; zrozumienie tej prawdy i zachowanie jej w powieści jest zasługą realistów francuskich: Beyla-Stendala, Balzaka i jego następców Flauberta, braci Goncourtów, a szczególnie Emila Zoli. Usiłowania tych potężnych talentów i wielkich myślicieli, a także wielkich krytyków Sainte Beuve'a i Taine'a, rozszerzyły ramy powieści w sposób dotychczas niebywały, lecz zarazem pogłębiły tę powieść, udoskonaliły metodę twórczości, wprowadziły ją stanowczo na tę drogę, którą przewidywał Cerwantes, na drogę studyów psychologiczno-społecznych. Powieść współczesna, jaką stworzyli ci wielcy pisarze, objęła wszystko, co się nazywa życiem ludzkiem. Nie gardzi przeszłością, lecz przedewszystkiem lubuje się w teraźniejszości, dlatego, że tę można studyować tak, jak tego wymaga nowa metoda. A metoda ta wymaga przedewszystkiem prawdy, a więc oddawania rzeczywistości takiej, jaką ona jest, a właściwie jaką ją widzi poeta przez pryzmat swych zdolności, nawyknień, temperamentu. Jest to rzeczą zupełnie naturalną, iż wobec tego faktu upada sam przez się podnoszony przeciw tej szkole zarzut niewolniczego kopiowania rzeczywistości. I w malarstwie obecnem panuje zwrot do portretu, do odwzorowywania rzeczywistych krajobrazów w rzeczywistem oświetleniu, a przecież zwrot ten nie znaczy upadku, lecz przeciwnie, podniesienie się sztuki. Lecz to poetyczne portretowanie rzeczywistości nie jest głównem zadaniem powieści współczesnej. Drogą obserwacyi, studyów, eksperymentów, a wreszcie intuicyi poetycznej, stara się ona wniknąć w głąb zjawisk, śledzić ich genezę, ich powolny i stopniowy rozwój, ich modyfikacye pod wpływem czynników zewnętrznych.

Illuzyę typowości, samowolę w wybieraniu pewnych rysów znamiennych a w pomijaniu lub zacieraniu innych jako przypadkowych, odrzucono raz na zawsze. Uznano, że ani w przyrodzie ani w życiu niema nic przypadkowego, że wszystko ma swe przyczyny, wszystko jest godne uwagi, zbadania i ocenienia. Powieściopisarz stał się nietylko psychologiem i socyologiem, on musi być obecnie i przyrodnikiem i przemysłowcem i lekarzem i jurystą i rękodzielnikiem i rolnikiem, by zrozumieć, przeniknąć do głębi i odwzorować niezmiernie zróżniczkowane społeczeństwo, by wszędzie odnaleźć i odczuć zjawiska istotne i odróżnić je od mniej ważnych. Skala jego uczuć musi być ogromną tak samo jak skala jego wzroku; jego oczy muszą być raz mikroskopami, które potrafią dojrzeć i zaobserwować najlżejsze, niedostrzegalne dla zwykłych ludzi poruszenia, drgania lub gry kolorów, lecz zarazem muszą posiadać zdolność obejmowania wielkich mas i wielkich faktów, dostrzegania pewnych stałych grup i stałych prądów tam, gdzie zwykłe, niewprawne oko widzi tylko chaos. Tak samo i uczucia jego muszą posiadać zdolność przenoszenia się momentalnie w najrozmaitsze sfery i sytuacye, wżywania się w nie i odtwarzania tych szczegółów, które autorowi znane są jako surowy materyał, czy to z obserwacyi własnej, czy ze studyów książkowych.

Nawet styl jego nie może już być jednolity, gładki, akademicki i zaokrąglony, jakim był styl dawnych powieści, gdzie wszystkie osoby: rycerze i damy, królowie, pasterze i dzicy barbarzyńcy (n. p. scytowie w Ifigenii Goethego), przemawiali jednakowo. I tu autor współczesny ma na oku przedewszystkiem rzeczywistość, prawdziwych ludzi, z ich wieczną grą uczuć i usposobień, z ich myśleniem, pełnem skoków i niekonsekwencyj, wypaczanemi wybuchami uczuć, z ich sposobem wyrażania się pełnym niezliczonych różnic indywidualnych, zależnych od różnic wychowania, charakteru, temperamentu, chwilowego usposobienia, stanowiska społecznego i stanu psychicznego. Wobec takiego ogromu zadania paść musiały wszelkie dawne szranki, dawne t. zw. estetyczne przepisy, które wykluczały z poezyi pewne słowa, pewne sytuacye, pewne postacie i pewne fazy życiowe. Dziś wszystko, cokolwiek możemy obserwować w przyrodzie i w społeczeństwie, może być przedmiotem poezyi, a przedewszystkiem powieści, która rozwijając się, pochłania w siebie wszystkie inne rodzaje poezyi.

Iw. Franko.

WOLNE MYŚLI

(FEJLETON).

IX.

Dziad dzisiejszego pana barona Artura Łapa Serdackiego nazywał się Jojne Łapserdak i w okolicach Złotej Góry handlował sobie ze „skórkiem zajęczem“. Ile razy spojrzał na stary pałac złotogórski, cmokał ustami i mruczał niezrozumiale pod nosem.

Pałac rzadko był zajęty, bo hrabia Jan Złotogórski gościem tylko bywał w kraju. Lubił podróżować, polował na antylopy w Azyi mniejszej i na gazelle baletu paryskiego. Hulał, jak potomkowi wojewodów i hetmanów przystało, i rzucał pieniądze garściami, aby „durniom“ szwabom i francuzom pokazać, czem jest magnat polski.

Później pan hrabia bawił w Anglii i z księciem Roqueforthchester łowił na brzegach Szkocyi śledzie i wieloryby — a Jojne Łapserdak porzucił handel skórkami i handlował sobie „ze żelazem“.

Kiedy pan hrabia wrócił z Anglii na parę miesięcy do Złotogór, — Jojne, wówczas już handlarz drzewa, miał zaszczyt pierwszy raz hrabiemu pożyczyć pieniędzy.

Pod włoskiem niebem hrabia zażądał od rządcy 20.000 rubli „za jakąbądź cenę“ — Jojne więc wziął w dzierżawę pięć folwarków, i założywszy ręce za pas od hałata, chodził sobie koło pałacu i przyglądał się przez okna wielkiej sali rycerskiej, artystycznemu cacku dawnych wieków. Mówił wówczas do swego syna: „Mojsze! ty potrzebujesz mieć ten pałac!“

Hrabia Jan i Jojne zmarli jednocześnie: pierwszy z milionem długów na dobrach, drugi z milionem weksli hrabiego w żelaznym kufrze przechowanych.

Ale Złotogóry warte były jeszcze dwa razy tyle, a więc spadkobiercy puścili je tylko w całości w dzierżawę panu Mojżeszowi — przepraszam — panu Michałowi Łapserdackiemu. Były to jeszcze te szczęśliwe czasy, gdzie w podobnych sprawach nie pisano protestów i nie drukowano nic niewyjaśniających „Wyjaśnień“.

Pan Mojżesz — przepraszam — pan Michał, zdołał prędko nabyć ogłady i nawyknień „staroszlacheckich“, a jednocześnie przekonać spadkobierców hrabiego Jana, iż lepsza jest jaka taka gotówka, niż wystawienie dóbr na licytacyę.

I oto przed czterdziestu laty pan Michał Łapa Serdacki przeniósł się do pałacu swych „przodków“, a ponieważ gmach był nieco zrujnowany i wymagał restauracyi, sprowadził przeto murarzy i malarzy z pobliskiego miasteczka i według własnych pojęć estetycznych, co potrzeba naprawił, zrzucił, dobudował i kazał wszystko fain pomalować.

Szczególniejszą pieczołowitością otoczył salę rycerską. Kazał ją złocić, czerwienić, żółcić, niebieszczyć, — aby tylko wyglądała wspaniale. Zniknęły piękne linie architektoniczne, ale sala kipiała od złoceń i czerwoności. Zbroje, pamiętające Kircholm i Wiedeń, polecił odczyścić, pozłocić i pozawieszać na ścianach na dawnem miejscu, każdą naokoło złotym laurem i zielonemi listkami otaczając. Piękne rzeźby sufitu zniknęły pod szafirową farbą, na której tle pozawieszał złote gwiazdy z czerwoną obwódką.

I wyprawił pan Michał wielki bal na otwarcie odnowionego pałacu, na który zaprosił okoliczną „bracią szlachtę“ i hrabiego Golickiego, bliskiego sąsiada z Golic małych i wielkich. I podziwiała bracia szlachta gust pana Michała, a tylko pan hrabia Golicki powiedział do swojej małżonki: *„ma chère!* czuć zapach czosnku w tej sali“. Hrabina, spojrzawszy wymownie na męża, rzekła półgłosem: „twoje dowcipy, *mon mari,* mogą nas z Golic wyrzucić“.

Sława restauracyi rozbiegła się szeroko. Śmiano się po pałacach i dworkach z gustu dorobkiewicza i opowiadano, jak w sali rycerskiej pan Michał udziela rządcom audyencyi, przybrany w czerwony kontusz, z karabelą u pasa.

Ale sława sali rycerskiej trwała tylko lat dziesięć; bo kiedy pan Michał wkrótce po zostaniu baronem i kawalerem orderu powiększył w niebie grono bawiącej tam rodowej arystokracyi, syn jego, wspomniany na początku baron Artur de Łapa Serdacki, mąż hrabianki Jadwigi Golickiej, sprowadził z Wiednia architekta dla przekształcenia pałacu. Teść jego, hrabia Golicki, dał mu bowiem uczuć, że założyciel domu baronów Serdackich miał gusta zbyt.... wschodnie.

Pamiętam, za dziecinnych moich czasów, jak restaurowano po raz drugi pałac i niszczono wspaniałą salę rycerską, przywracając jej dawną ponurość, prostotę, ale i powagę. Pamięć jej jednak, tej czerwono-złotej, pozostała mi na długo, aż wreszcie zatarła się zupełnie.

I oto po latach wielu przypomniałem ją sobie, wszedłszy do odrestaurowanej świątyni N. Panny Maryi w Krakowie. Zdało mi się, że znów jestem w sali rycerskiej, tylko znacznie większej i jeszcze w swoim rodzaju wspanialszej.

Jak tam przed jaskrawością kolorów zniknęły linie architektoniczne, tak i tu uleciała z przed oczu moich cała imponująca siła, a zarazem lekkość gotyku. Kiedy przed paru laty wchodziło się do tej świątyni, mimowoli duch się korzył i na ustach zawisła modlitwa, — człowiek czuł się maleńkim wobec ogromu i powagi murów; nie trzeba było mu mówić, że to jest dom Boży. Dziś, zdaje się wchodzącemu, że dostał się co najwyżej do... sali teatralnej, — bo przez uszanowanie dla miejsca, nie chcę dobitniej opisać (mojego przynajmniej) wrażenia.

Już kiedy odnowiono presbiterium, odzywały się głosy przeciw zastosowaniu do gotyku rażąco-jaskrawej polichromii. Głosy te wychodziły przeważnie z ust takich ludzi, którym znawstwa sztuki nikt jeszcze nie zaprzeczał. Większość jednak, nie wchodząc w prawa gotyku, uznała bądź co bądź odnowienie presbiterium za przeprowadzone pięknie i artystycznie. Raziły wprawdzie wszystkich niektóre szczegóły, jak owe rysami trochę nieanielskie anioły, ale całość odznaczała się harmonijnością, co nieprzyjaciele nawet polichromii przyznać musieli. Należał do nich i pokorny Wasz sługa, łaskawi Czytelnicy i oby łaskawe Czytelniczki,— żal mu było, że Wit Stwosz, który przedtem wybijał się i imponował, zginął nieco w otoczeniu, — żal mu było i tych wspaniałych szyb nad wielkim ołtarzem, które wobec ponurych, ciemnych ścian, wspaniały efekt wywoływały, a teraz równie ginęły w otoczeniu. Ale żal żalem, — trzeba było się pogodzić ze zdaniem większości, zwłaszcza, iż argumenta jej miały dość silne podstawy.

Ale co do nawy, to zdaje mi się, że przed większością nie będę potrzebował ustępować. Mam ten zwyczaj, że nie lubię wyrywać się z własnem zdaniem, nie przekonawszy się poprzednio, czy może ono liczyć choćby na najmniejsze poparcie ludzi, z których sądem liczyć się w danej sprawie wypada. Ostrożność ta nigdy nie zawadzi, dopóki nieomylność fejletonistów ogłoszoną nie zostanie. Wprawdzie w rzeczach sztuki więcej należy wierzyć oczom własnym, niż „specyalistom“, bo piękno tylko odczuć, a nie wyrozumować można, — ale i w tym razie nie odstąpiłem od zwyczaju i przekonałem się, iż nietylko publiczność patrząca, ale i jej cząstka malująca i rzeźbiąca nie zachwyca się, również jak i ja, temi plamami, rażącemi oko, zestawionemi nieharmonijnie, przedzielonemi czarno-żółtemi pasami, upstrzonemi symbolami, herbami i tym podobnemi ornamentacyami, które są dobre na papier listowy, na drzwiczki do karet, lub na karty tarokowe, a nie do świątyni Pańskiej. Brakuje tylko chorągiewek i łańcuchów z papieru kolorowego, aby całość przypominała szopki krakowskie, lub salę balową w Ryczywole.

Boczne nawy jeszcze wspanialej wyglądają; tam zastosowano malowanie w kratkę na kolorek buraczkowo-czekoladowy, a w każdej takiej kratce umieszczono listek ornamentacyjny. Przed lady 50 tak malowano dworki szlacheckie i „austerye“.

Brakowało tylko, aby, idąc za przykładem pana barona Łapa Serdackiego, tak, jak on pozłocił stare zbroje, pozłocić lub na czerwono pomalować marmurowe ołtarze i nagrobki. I bezwarunkowo, bez żartu, całość by na tem zyskała, bo przynajmniej w swojej brzydocie byłaby harmonijną. Tak, jak jest, nagrobki i ołtarze, mimo swojej, nieraz rzeczywistej piękności, wyglądają wprost brudno i szkaradnie.

Cała nadzieja w tem, że jak po panu baronie Michale nastąpił pan baron Artur, który restauracyę pałacu w Złotogórach podjął na nowo, tak z czasem dokonaną zostanie za jakie lat sto nowa restauracya nawy Maryackiej i że wówczas może nie będzie na razie wielkiego historycznego malarza, który gdyby mógł ludzi, rośliny, góry, wody, ptaki i wszystko co jest na świecie, pomalowałby na nowo, według swoich przekonań artystycznych.

K. Bartoszewicz.

SHELLEY.

(SZKIC).

II.

Natura szkicu nie pozwala mi, ażebym przedstawił położenie Europy w czasie, w którym żył Shelley; trzeba mi się ograniczyć na narysowaniu w kilku zaledwie konturach wszechwładzy reakcyjnej w samej Anglii.

Anglia, która, dzięki swym liberalnym urządzeniom, była jeszcze przed wybuchem wielkiej rewolucyi symbolem swobody dla ludów, uginających się pod jarzmem despotyzmu, zaczęła z początkiem tego wieku coraz bardziej tracić fizyognomję państwa wolnego. Na zewnątrz silna i wielkie posiadająca wpływy na losy krajów ościennych, skutkiem szczęśliwie prowadzonych wojen przeciwko Napoleonowi, skutkiem owładnięcia wszystkiemi morzami, zdobycia kolonij w innych częściach świata, a tem samem zagarnięcia w swe ręce całego handlu produktami zaeuropejskiemi, przedstawiała wewnątrz obraz straszliwej zgnilizny. Na tronie siedział król „ślepy, stary, na pół obłąkany“, skrajny pobożniś i „cantysta“, który jednak, mimo przestrzegania form religijnych i towarzyskich, nie wahał się najnikczemniejszych, najmniej chrześciańskich używać środków w celu pozbycia się żony, zresztą nie wiele lepszej od niego; który sprawę rozwodu do ostatecznego posunął skandalu, sprowadzając kelnerów i pokojówki ze wszystkich hoteli, gdzie w podróżach swoich zamieszkiwała królowa, ażeby świadczyli przeciwko niej; który już przy pierwszem spotkaniu się z żoną, gdy ta zwyczajem dworskim uklękła przed nim, zawołał do lorda Malmesbury: „Harrisie! podaj mi szklankę wody, bo mi się robi nie dobrze“, a potem wyleciał z pokoju, jak furyat; który podczas obrzędu ślubnego się taczał, a na weselu, nie uważając na gości, spił się aż do zbydlęcenia — owóż na tronie siedział król, zachowujący się w sposób najmniej królewski, najmniej odpowiadający religijnej i towarzyskiej pruderyi. Otoczony gronem doradców tego gatunku, jak Castlereagh, Sidmouth i Eldon, którym nadano imię „bezkrwistych wilków, wyjących suchemi gardłami“, miał zidiociały ten władca, mimo konstytucyi, aspiracye nawskroś despotyczne.

W kraju nieopisana panowała nędza, miasta podupadły, tak, że je zwano miasteczkami zbutwiałemi; robotnik, pracujący w fabrykach, zależny był od widzimisię nieuczciwych chlebodawców; lud wiejski mieszkał w chlewkach prawdziwych, nie mając co włożyć do ust skutkiem niepomiernej drożyzny, wywołanej przez „ustawy zbożowe“. Ponieważ jedynie szlachta miała prawo posiadania ziemi, stąd też, po nałożeniu olbrzymich ceł na produkty dowozowe, stanowiła ona samowolną cenę — dla braku konkurencyi — na sprzedawane biednym ludziom przedmioty spożywcze. Dodajmy do tego jeszcze niezwykłe ciężary podatkowe, jakie z natury rzeczy ponosić musiał przedewszystkiem lud ubogi, a będziemy mieli obraz nędzy, jaka, pomimo bogactw kraju, ogarniała warstwy najszersze.

Anglia posiadała skarby, ale skarby te koncentrowały się w rękach niewielu jednostek, w kieszeniach małej stosunkowo liczby lordów i kupców, którzy „ludzki pot i ludzką krew“ marnotrawili na zbytki, na rzeczy, nie mające żadnej wspólności z potrzebami normalnego życia.

Parlament, zamiast być środkiem ochronnym przeciwko wszelkiego rodzaju nadużyciom, zamienił się w parodyę konstytucyonalizmu, uchwalał na żądanie Castlereagha, Sidmoutha lub Eldona ustawy, ścieśniające coraz to bardziej swobodę, jak np. osławione „prawo kagańcowe“, wymierzone przeciwko wolności mówienia i zagwarantowanej konstytucyą wolności pisania; zwracał się przeciwko wolności sumienia, gnębiąc, mordując w niesłychany sposób katolików irlandzkich — dla tego jedynie, że nie chcieli poddać się prawowiernemu kościołowi anglikańskiemu. I nie mogło być inaczej. Składał się bowiem po większej części z arystokracyi, utrzymującej większość głosów dzięki systemowi wyborczemu i dzięki przekupstwu, jakiem wrzekomi przedstawiciele ludu, nie mający z nim nic absolutnie wspólnego, zdobywali głosy wynędzniałych tłumów, którym wobec widma głodu obojętnem było, kto będzie zasiadał w ciele ustawodawczem, byleby tylko otrzymać kilka pensów na chleb i na sól.

Reakcya jeszcze się wzmogła, kiedy zniecierpliwiony, głodny lud zaczął demonstrować przeciwko rejentowi i jego spodlonym ministrom. Spokojne zebrania ludowe rozpędzało wojsko, używając broni przy najmniejszym oporze. Tak w Manchesterze zamordowali siepacze rządowi jednego wieczora pięciuset bezbronnych ludzi, zebranych na to, ażeby się naradzić, w jaki sposób należałoby wystąpić przeciwko zachciankom rządu, zmierzającym do zniesienia najkardynalniejszych, podstawowych zasad konstytucyi, tak zwanego „Aktu *habeas corpus*“.

Najmniejszy opór do tem większego wystarczył ucisku.

Taka była gospodarka rządu, której błogosławieństwa swego udzielał skostniały kościół anglikański, poświęcający chorągwie, bagnety i pałasze wysyłanych w celu mordowania bezbronnego ludu żołnierzy, polecający tępienie katoli-

ków irlandzkich jako heretyków, powołujący się na każdym kroku na „miłość Ukrzyżowanego, na jego krew, przelaną za dobro ludzkości".

Znakomity, dosadny obraz tej epoki pozostawił Shelley pomiędzy innemi w sonecie, zatytułowanym: „Anglia w r. 1819", który poniżej przytaczam:

Król. stary ślepiec, szaleniec wzgardzony;
Książęta, szczepu zgniłego odpadki —
Cuchną i brudzą naród rozjątrzony;

Sternicy państwa, pijawki: ostatki
Krwi ludzkiej chłoną, głusi na stłumiony
Jęk, czynią rozbój pośród drogi gładkiej;

Lud, który z głodu w pustem polu ginie;
Żołnierz-dławiciel wolnościowej sprawy,
Miecz obosieczny w ręku tych, co ninie.

W zdrój krwi i w złoto zmieniają ustawy;
Wiara wznosząca bez Boga świątynie,
I zbezczeszczone prawodawców ławy.

Oto mogiły, z których niech w godzinie
Burzy, ognisty dla nas blask wypłynie....

Nie dziw więc, że taka deprawacya ludzi i stosunków, taka niesprawiedliwość i obłuda musiała obudzić w szlachetnej i wrażliwej naturze Shelleya wstręt największy, że musiała prowokować go do oporu.

Sądząc na wzór rzymskiego poety Lukrecyusza, że ta suma złego wypływała z istoty religii, którą wszyscy tyrani najbardziej chełpić się zwykli; nie mogąc pod całą tą potworną grozą ciemięztwa wznieść się do poglądu, że nie religia temu winna, lecz ludzie, którzy ją wykrzywili; będąc przytem wiernym idealistycznej filozofii swej o pierwotnej szlachetności człowieka — zwrócił swój upór nasamprzód przeciwko obłudzie religijnej. Popychała go do tego i ta okoliczność, że najwięksi zbrodniarze ówczesnej Anglii, król Jerzy i jego zausznicy w rodzaju Castlereagha, który, sam będąc Irlandczykiem, najkrwawiej zapisał się w martyrologii Wyspy zielonej, nie omieszkali nikczemnych rozkazów swych rozpoczynać pod hasłem religii, pod wezwaniem Boga. Naturalną konsekwencyą było to, że Shelley zerwał gwałtem z protestantyzmem, że nie pojmując Boga-ciemiężyciela, zaczął nazywać siebie ateuszem. *Ego philanthropos eimi, demokratikos t'atheoste* mawiał po grecku o sobie. Z pojęciem ateizmu, przy dopiero co zaznaczonych stosunkach angielskich, łączył pojęcie szlachetności. Ateizm jego był jednak tylko formalnym, nie odnosił się do istoty rzeczy. Całe życie Shelleya świadczy, że nikt nie był bardziej wierzącym od niego — wierzącym w łagodne Bóstwo piękna, w Bóstwo miłości. Ta wiara, przybierająca kształty panteistyczne, przenika całą jego poezyę. Widział on tego Boga nietylko w pierwotnem, niezepsutem sercu człowieka, ale widział Bóstwo to we wszystkiem, co go otaczało, począwszy od najmniejszej grudki ziemi, najmniejszej roślinki, „której nigdy nie złamał z umysłu", najnędzniejszego płazu, „którego nigdy nie zdeptał, nie złamał z umysłu", a skończywszy na „braciach jego" — na majestatycznem morzu, na wspaniałych, lodem pokrytych szczytach gór, na ogromie kuli ziemskiej, na miriadach gwiazd promienistych, na wszystkiem tem, co składa się na wszechświat:

Powietrze! ziemio! morze! bracia moi!
Jeśli mi w duszę wlała Macierz wielka
Prawych ukorzeń płomieniącą iskrę,
Ażebym miłość waszą odczuł sercem
I dar ten waszą okupił miłością;
Jeślim ukochał tę rosę poranku
I woń południa i szkarłat zachodu
I dech stłumiony drzemiącej północy;
Jeśli drogiemi były mi rozjęki
Tęschnej jesieni i zima, zdobiąca
Całunem śniegu i lodów brylantem
Nagie konary i trawy powiędłe;
Jeślim się kiedy upajał pierwszemi
Całunki wiosny pośród drżeń rozkosznych;
Jeślim ptaszyny nie obraził nigdy
Ani owadu świadomie, lecz zawsze
Kochał serdecznie jako ród pokrewny:
O, wtenczas, bracia najdrożsi! przebaczcie
To słowo chwalby....
Udzielcie mi choć część swojej łaski i błogosławcie mą pieśń....

J. K.

MUZYCY i SZKOŁY MUZYCZNE.

III.

Najbliżej Mikulego stoi szkoła (koncesyonowana) pani Laureckiej, którą uważać należy prawie za rodzaj filii tamtej. W najwyższej klasie udziela tu nauki sam Mikuli. Zresztą posiada szkoła wykłady teoretyczne, w roku bieżącym rozszerzone znacznie. Jestto zakład cieszący się sympatyą i zaufaniem publiczności.

Chcąc wyczerpać wszystko, co ma najbliższy związek z Mikulim, wymienić musimy najpoważniejsze firmy nauczycielek muzyki prywatnych — zostawiając sobie, jako przedmiot do szczegółowego rozbioru szkołę p. Marka w pierwszym rzędzie, jako fortepianową; następnie zaś konserwatoryum posiadające wiele działów, z których otworzy się nam wejście na pole nauki gry na innych instrumentach a nadewszystko nauki śpiewu, tak u nas obecnie rozpowszechnionej.

Imiona tych pań, które będąc przed laty uczennicami Mikulego, w czasach jego najświetniejszych, z pierwszej ręki otrzymywały wykształcenie i zasady sztuki — otaczane są ogólnie powagą, na jaką w całej pełni zasługują. Kto zna dziwnie ujmującą w swojej skromności, a przytem na wskroś artystyczną postać p. Złobickiej, ten z pewnością bez najmniejszego wysilania się znajdzie słowa na określenie jej. Jest pianistką czującą i myślącą, nauczycielką rozumną, wysoko wykształconą i cierpliwą bez granic. Grono jej uczennic i uczni jest bardzo liczne, mimo że szkoły zorganizowanej, jak inne, nie miała i niema. Nie znamy w świecie artystycznym drugiej osoby, któraby cieszyła się tak wielkiem przywiązaniem swoich uczni i równą ogólną sympatyą u wszystkich, jak p. Złobicka — jej delikatność, uczynność, takt i sumienność pracy sprawiają to. Obywa się bez najmniejszej reklamy, cienia jakichś usiłowań w tym kierunku nikt nie dostrzeże, czego najlepszym dowodem, że nazwisko p. Złobickiej od czasu, kiedy przestała grywać publicznie, nigdy w kronikach i notatkach dziennikarskich się nie pojawia. Popisów publicznych p. Złobicka nie urządza a chociaż corocznie w lecie wyjeżdża za granicę, to jednak nikt nie czyta o tem w dziennikach — podobnie o wyjeździe jak o powrocie. Daremnie szukałbyś wiadomości w zapiskach osobistych — a przecież wszyscy interesowani dowiadują się wcześnie o tem i z początkiem jesieni już grono uczniów i uczennic jest bardzo liczne, a co ważniejsza, rekrutuje się ze sfer prawdziwie inteligentnych. P. Złobicka grywała sama najczęściej i z największem zamiłowaniem Bacha — kierunek też bardzo poważny wytknięty jest jej nauką. Mimo to, daleka od wszelkiej stronniczości, z wielkiem zainteresowaniem śledzi postęp sztuki, zajmując się żywo wszelką muzyką nową i kompozycyami polskich muzyków jak Żeleńskiego, Noskowskiego lub Paderewskiego, którego to zajęcia daremnieby szukać u Mikulego, oddanego całą duszą przeszłości i nieśmiertelnemu Chopinowi.

Wielkiem wzięciem i szacunkiem cieszy się również p. Neuhauserowa, matka młodego muzyka, o którym wspominaliśmy niedawno. Prowadzi ona życie nader czynne a wykształcenie gruntowne, doświadczenie i energia czynią z niej nauczycielkę muzyki cenioną i poszukiwaną. Do wybitniejszych liczą się ponadto panie Zacharyasiewiczówna i Horoszkiewiczówna.

Już powyżej nadmieniliśmy, iż znaczną popularność posiada szkoła Ludwika Marka. Istnieje ona od roku 1879, rozporządza pewną większa liczbą nauczycielek, które wszystkie pod naczelnem kierownictwem dyrektora pracują również w jednym kierunku. Duch tu jednak panuje odmienny, jak odmiennym jest sam system nauki. Aby z nim czytelnika zapoznać, musimy słów kilka poświęcić osobie artystycznej Ludwika Marka. Daty znajdujemy dokładne i autentyczne w piśmie wiedeńskim *Wiener-Signale* z roku 1881 (Nr. 16). Oto są słowa artykuliku: „Między polskimi muzykami jedno z wybitniejszych stanowisk zajmuje Ludwik Marek. Pochodzi on z muzykalnej familii. Ojciec, muzyk, początkowo zamieszkały we Lwowie, był pierwszym nauczycielem jego, po przesiedleniu się do Tarnopola pracował tak nad zdolnym chłopcem, iż tenże w dziesiątym roku życia popisywał się już publicznie. Następnie kształcili go w grze fortepianowej, Hellebrand, Milan i Mikuli w teoryi Wiethe. Wycieczki koncertowe po Rosyi i Rumunii zjednały mu imię i rozgłos w tych stronach. W roku 1872 udał się do Liszta, gdzie studyował wiele i pilnie. Koncerta też dane później w Wiedniu przyniosły mu sukces niepospolity, a krytycy jak Schelle, Ambros i Laurenzin uznali go wirtuozem pierwszego rzędu. Z Bülowem studyował klasyków a zwłaszcza Beethowena. Było to w roku 1874. Następnie wyruszył w podróż koncertową, wreszcie osiadł we Lwowie, założył szkołę muzyczną i zajął się powstającem wówczas towarzystwem orkiestralnem „Harmonia“, które uczyniło go swoim dyrektorem“. W dalszym ciągu podaje pismo to utwory Marka, kończąc na tem krótki życiorys.

Przypominamy sobie dokładnie czasy owe, kiedy powrócił p. Marek do Lwowa a nawet posiadamy charakterystyczny dokument z owej chwili. Jestto dodatek do jednego z pism codziennych, zapełniony wyłącznie tłomaczonemi urywkami z recenzyj niemieckich o koncertach Marka. Niektóre wyrażenia istotnie niefortunne, do dziś dnia krążą jeszcze jako ciekawy okaz reklamy — nie dość oszlifowanej. P. Marek może wówczas zawinił, że pozwolił na wypuszczenie w świat podobnego komunikatu o swoim talencie, bo przedewszystkiem jako wirtuoz istotnie niepospolity, nie potrzebował chwytać się tego środka; jednakże, nasi wszyscy zoilowie powołani i niepowołani, przesadzają także znacznie, przedstawiając go jako osobistość, która całą swą artystyczną powagę gruntuje na reklamie, na produkowaniu cudownych dzieci, na sprowadzaniu obcych znakomitości i stosunkach z niemi, na aranżowaniu koncertów, na prowadzeniu wreszcie rentownego przedsiębiorstwa sprzedaży fortepianów. Nasza lwowska wrodzona zgryźliwość (obacz ten numer *Trybuny,* w którym nawet z harmonii panującej obecnie w świecie muzykalnym lwowskim naigrawają się, niedowierzając słowom, które wypowiedzieliśmy w pierwszym numerze *Myśli)* jest w stanie w zapędzie swoim, dla kilku błędów odmówić w danym razie wszystkiego: talentu, wiedzy, uczciwości i t. d. Pan Ludwik Marek padał nieraz ofiarą tej przesadnej gorliwości, która źdźbło dostrzega w oku cudzem.... Naszem zdaniem, w postępowaniu tego człowieka główną rolę grała przeważnie wrodzona mu ruchliwość, żywość i energia, którą bądź co bądź rozwijał zawsze i która go charakteryzuje. Punkt po punkcie rozbierzemy, zatrzymując się przy każdym szczególe jego działalności, tem więcej, że każdy z tych szczegółów jest w związku ze szkołą, główną obecnie areną pracy p. Marka.

St. Niewiadomski.

MISCELANEA.

*** **Z teatru.** (b) Teatr krakowski wystąpił dwa tygodnie temu z pierwszą w sezonie bieżącym premierą. Chwali się dyrekcyi iż wybór padł na sztukę oryginalną, szkoda jeno, iż rzecz nie dopisała. Tak jest. „Chłopcy pana cześnika“ — których ojcem duchowym jest autor „Wita Stwosza“ p. W. Rapacki — źle się stanowczo spisali. Wina to oczywiście nie „smyków“, grających wcale dobrze, lecz p. Rapackiego, który, lubując się w materyi spleśniałej, tworzy komedye pozbawione jednolitości akcyi i charakterów, a zaprawne jakimś zawadyackim pierwiastkiem. Dobre to mają być w gruncie chłopaki, te latorośle rodu cześnika, kochające i tkliwe. Nagle wstępuje w nich animusz trochę rycerski, a trochę złodziejski i... okradają kasę ojcowską, gwoli bujania po świecie i znalezienia żony. Etyka chyba średniowieczna! Sztukę grano dobrze. Na wyróżnienie zasługują p Rygier (cześnik), który nadał właściwy charakter odtwarzanej postaci, dalej p. Stępowski, jako stary famulus (postać dobrze nakreślona) i p. Wojnowska w roli kabalarki. W mniejszej roli Zofii wystąpiła p. Helena Parysotówna, świeżo zaangażowana do ról konwersacyjnych P. Parysotówna posiada do pewnego stopnia warunki zewnętrzne, które przy talencie mogą jej ułatwić karyerę sceniczną. Czy talent jednak rzeczywisty ma, sądzić by było zdaniem naszem, dziś, po dwóch debiutach, przedwcześnie. Nie ulega za to wątpliwości, że p. Tekla Trapszówna wnosi ze sobą na scenę krakowską dużo talentu, który oby tylko reżyserya należycie zużytkować potrafiła. Panna Trapszówna, dziecię sceny, posiada intuicyę artystyczną i piękne warunki zewnętrzne, nad głosem tylko trochę chropawym musi jeszcze popracować. Nad farsą Valabregua „Stadła paryskie“, naiwną i pieprzną, należy przejść do porządku dziennego, w miłem oczekiwaniu „Przeszkody“ (L'obstacle) A. Daudeta.

*** W Krakowie zmarł 24 z. m, dr. Izydor Kopernicki, znakomity antropolog, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego i członek bardzo wielu instytucyj naukowych w kraju oraz zagranicą. Z ogłoszonych prac ś. p. Kopernickiego, zasłużonego również Ojczyznie w r. 1863, wymienić należy w pierwszym rzędzie obszerną pracę, dokonaną wspólnie z b. prezesem Akademii Umiejętności drem Majerem p. t.: „Charakterystyka fizyczna ludności galicyjskiej“. Kopernickiego łączyła serdeczna przyjaźń z Oskarem Kolbergiem, o którym napisał osobną broszurę. Cześć pamięci uczonego i dobrego syna Ojczyzny!

*** Trzy listy własnoręczne Juliusza Słowackiego w języku francuskim pisane z Frankfurtu do Paryża w maju i czerwcu r. 1841 oddał jakiś skromny człowiek bibliotece Jagiellońskiej z zastrzeżeniem, żeby ich przez dłuższy czas niewydawać na użytek publiczny. Na jednym z tych listów znajduje się polskie słowo „Miłostki“ obcą napisane ręką, (l. inw. 4408). Pod l. inw. 4415 znajduje się niemniej ciekawa korespondencya Wincentego Pola, prowadzona z żoną i jej rodziną w latach 1871 i 1872, okryta również tajemnicą.

*** Drugi tom niezwykle cennej publikacyi: „Księga pamiątkowa setnej rocznicy ustanowienia konstytucyi 3-go Maja“ ukazał się już w handlu księgarskim. Tom ten zawiera opowiadanie historyczne pióra p. K. Bartoszewicza p. t. „Trzeci Maja w dalszych rozprawach sejmowych“, zbiór ważnych materyałów do pierwszych miesięcy po uchwaleniu konstytucyi, wyjętych z rękopisów biblioteki XX. Czartoryskich, archiwum m. Krakowa i zbiorów prywatnych, wreszcie szczegółowe opisy obchodów setnej rocznicy w Ameryce, Europie, Poznańskiem i Galicyi. O doniosłem tem wydawnictwie, będącem jedynie godnem uczczeniem literackiem wielkiego faktu dziejowego, napiszemy wkrótce obszerniej.

*** Na wystawie sztuk pięknych w Sukiennicach znajduje się obecnie doskonały obraz monachijskiego malarza K. Marra p. n. „Biczownicy“, który porywa mistrzowskiem odtworzeniem postaci ascetów, pięknym kolorytem i dobrem ugrupowaniem wielu osób na dużem płótnie,

Za Komitet redakcyjny: Józef Bornsztein.

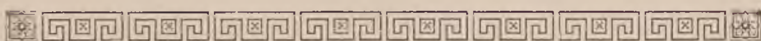
Firma „LUX" (Dr. Borkowski)

Kraków, ulica Gertrudy Nr. 7

Fabryka i jedyny skład w kraju: aparatów, przyborów, materyałów i wszelkich potrzeb do fotografii naukowej, zawodowej i amatorskiej i wszelkich projekcyj.

Kamery salonowe, podróżne, miechowe, ręczne, kieszonkowe, detektywne itp.; **statywy** słupowe i składane; **aparata błyskawiczne, migawkowe,** dzienne i magnowe, garnitury kompletne amatorskie, już od 12 złr. począwszy, obejmujące aparat, objektyw i laboratoryum; wszelkie zapasy materyałów, zawierające: płyty, filmsy, klisze, **papiery** albuminowe, aristo, Libedzińskiego, wszelkie platynowe, solne, bromo-żelatynowe, emulzyjne, **chemikalia najczystsze a zarazem najtańsze.** Wyłączne zastępstwo patentowanych specyalności paryskiej firmy M. P. Mercier. **Kartony** z firmą obstalowującego we wszelkich rodzajach i formatach; potrzeby do retuszu, **warsztaty naprawy** i t. p.

Nauka fotografii dla pp. Amatorów-odbiorców bezpłatnie, także listownie, z poręczeniem rezultatu; po jednej lekcyi poręczam każdemu poprawność zdjęć. Laboratoryum amatorskie otwarte od 8 rano do 9 wieczór; wykończanie zupełne prac amatorskich, powiększanie fotografij w wszelkich manierach, światłodruk itp. Cenniki amatorskie ilustrowane na żądanie bezpłatnie, fotografie próbne za przysłaniem 25 cent. **Osobny dział i cenniki dla pp. fotografów zawodowych.** Zakupno lub wymiana odpadów i nieużytków, zawierających srebro, platynę lub złoto. **Ceny niższe od wszelkich konkurencyjnych, nawet od zagranicznych,** wobec charakteru hurtownego przedsiębiorstwa.

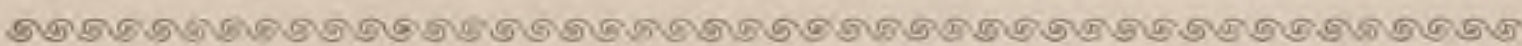


ZAKŁAD
ślusarsko-mechaniczny
ADAMA STASZCZYKA
w Krakowie, Smoleńsk Nr. 9.

Wyrabia:

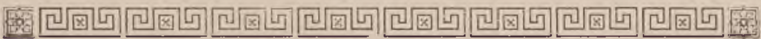
okucia budowlane od najprostszych do najwykwintniejszych, zamki Wertheimowskie, balustrady, poręcze, drzwi żelazne do grobów i kaplic i t. d.

Oprócz tego powyższy Zakład wyrabia wewnętrzne urządzenia kliniczne, stoły operacyjne rozmaitych konstrukcyj, szafy żelazne oszklone na instrumenta chirurgiczne, podstawy do irrygatorów, stoły na kółkach mosiężnych ze szklannemi płytami, łóżka na żelaznych materacach **własnej konstrukcyi,** wózki do przewożenia chorych, umywalnie i t. d., i t. d.



Powyższy Zakład ślusarsko mechaniczny odznaczony został na Wystawie Krakowskiej w r. 1891

WIELKIM SREBRNYM MEDALEM.



Dlaczego są prawdziwe

— kotwiczne —

skrzynki budowlane

tak ulubione?

Ponieważ one nie stają się, jak inne zabawki, już po kilku dniach bezwartościowymi, lecz dostarczają dzieciom przez wiele lat zajmującej i pouczającej rozrywki i **ponieważ** przez to zewzględu na trwałość **najtańszą** stanowią zabawkę. **Ponieważ** także i dla rodziców budowanie podług wspaniałych wzorków sprawia wielką przyjemność i **ponieważ** każda skrzynka systematycznie może być powiększaną.

Kto nie chce doznać przez kupno jakiego bezwartościowego naśladowania wielkiego rozczarowania, ten powinien odrzucić każdą skrzynkę bez naszej firmy i bez naszej fabrycznej marki, którą jest „czerwona kotwica" jako nieprawdziwą. — Illustrowany cennik bezpłatnie i franco.

F. Ad. Richter & Cie., Wiedeń
Ulica Nibelungen 4.

EDMUND RYGIER

udziela lekcyj deklamacyi — pierwszych zasad sztuki aktorskiej i przyjmuje reżyserję teatrów amatorskich.

Bliższa wiadomość w **Kasie teatru** krakowskiego.

Objąłem

ZAKŁAD DENTYSTYCZNY

po ś. p. docencie K. Goeblu

przy placu WW. Świętych, L. 10, pierwsze piętro.

Oddział techniczny zostaje pod kierunkiem p. **Lemparta,** długoletniego zastępcy ś. p. docenta Goebla, w czasie jego słabości. — Ubogich chorych przyjmuje od 8—10 rano. — Operacye wykonuje na żądanie przy znieczuleniu.

Dr. med. JAN STARACHOWICZ, dentysta.

Dra Rosa'ego Balsam życia

jest środkiem domowym łagodnie i skutecznie działającym, od przeszło lat 30 znanym, przywracającym trawienie, apetyt i usuwającym wzdęcie.

Wielka flaszka 1 złr., mała 50 ct., pocztą 20 ct. więcej.



Wszystkie części opakowania zaopatrzone prawnie deponowaną marką ochronną, uwidocznioną obok.

Poleca się również:

„PRASKĄ UNIWERSALNĄ MAŚĆ DOMOWĄ".

Takowa okazała się po wielu doświadczeniach jako skuteczny środek przy czyszczeniu, gojeniu bolących miejsc i działa przytem uśmierzająco i rozwalniająco.

W dozach po 35 ct. i 25 ct., poczta 6 ct. więcej.

Wszystkie części opakowania zaopatrzone prawnie deponowaną marką ochronną, uwidocznioną obok.



Skład główny:

B. FRAGNER, PRAG

Nr. 203—204, Kleinseile, apt. pod czarnym orłem.

Przesyłka pocztowa codziennie.

W miejsce abonowanych dotąd pism niemieckich i francuskich, polecamy:

NOWE MODY

zawierające **najświeższe wzory z dziedziny mód,** zarówno dla osób starszych, jakoteż dla panien, dziewcząt i dzieci; wraz z wzorami krojów wszelkich artykułów toalety damskiej, tudzież z obfitym zasobem sekretów gotowalni kobiecej.

W piśmie tem, panie nasze znajdą to wszystko, co je zainteresować może; od form i krojów artykułów codziennej garderoby aż do wzorów będących najnowszym wynalazkiem mody i ostatniem niejako jej słowem.

Pismo to poprzedzone jest w każdym numerze **przeglądem najświeższych mód paryzkich,** a każdy zeszyt zdobić będą **prócz dwóch kolorowych, liczne ciemne ryciny i wzory,** nietylko odnoszące się do strojów damskich, ale i do fryzury, kapeluszy, obuwia i ozdób wszelkiego rodzaju. Pomiędzy innemi są tam wzory i opisy wyrobów ręcznych jakoto: włóczkowych, na kanwie, haftów, koronek, monogramów i t. d.

W każdym drugim numerze mieści się **tablica krojów**; zajmująca i interesująca **powieść** stanowi dopełnienie treści pisma.

NOWE MODY

wychodzą 1 i 15 każdego miesiąca — a cena ich kwartalna wynosi:
we Lwowie 1 złr. 50 ct. — z przesyłką na prowincyę 1 złr. 80 ct.

Nowy rocznik rozpoczyna się z dniem 1-go października.

!! Numer na okaz bezpłatnie !!

Z uszanowaniem
Księgarnia **H. ALTENBERGA** (dawn. Richtera)
we Lwowie.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Józef Tarczeński.**